

nowa  
proza  
polska

Manuela  
Gretkowska

Kobieta  
i mężczyźni



Świat Książki

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Projekt graficzny serii  
*Małgorzata Karkowska*

Ilustracja na okładce  
Corbis

Redaktor serii  
*Paweł Szwed*

Redaktor prowadzący  
*Ewa Niepokólczycka*

Redakcja  
*Maria Fuksiewicz*

Redakcja techniczna  
*Lidia Lamparska*

Korekta  
*Bożenna Burzyńska*  
*Elżbieta Jaroszuk*

Copyright © by Manuela Gretkowska, 2007  
Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o.o., Warszawa 2007

Świat Książki  
Warszawa 2007  
Bertelsmann Media sp. z o.o.  
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie  
*Joanna Duchnowska*

Przygotowanie  
Fabryka Wyobraźni  
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1938-9  
Nr 45004

Klara pochyliła się nad mężem. Trudno mu było się ułożyć nie na miękkiej i wygodnej kanapie, ale we śnie. Pokonywał w nim przeszkody, przybierał pozy pływaka, nurka, stawiając mniejszy opór przepływającym mu przez głowę myślom. Klara znowu go okryła podniesionym kocem. Przycisnęła jego szczupłe, wysportowane ciało, żeby nie próbował od razu zrzucić z siebie ciepłej wełny albo może jej ręk. Trzymając go przez chwilę w objęciach, zastanawiała się, ile w tym czułości, a ile przemocy. Wystarczy sił na bycie domową cheerleaderką zagrzewającą do seksu, rozmowy, spaceru?

– Już szósta, idziesz ze mną? – zabołały ją ręce, puściła koc.

– Zgaś światło – schował twarz między poduszki.

W nią też tak się chował, w jej pochwę niby w zakładkę rzeczywistości. Byli ze sobą blisko tylko nadzy. Rozbitkowie po miłosnej katastrofie; zniknęli wspólni przyjaciele, na dno poszło dawne życie, dom. Zostały dwa ciała wyrzucone na brzeg małżeńskiego łóżka.

– Wróć – wstała. Wystarczyło to powiedzieć, ale dodała: – Wróć przed północą.

Wyłączyła nocną lampkę. Jej światło było na tyle słabe, że przez chwilę się zawahała, czy nie pozwolić mu,

by samo opadło spod klosza jak pożółkły od chłodu liść. W mieszkaniu zapadła zimowa ciemność. Tafla podłogi oświetlona ulicznym blaskiem zadrżała od przejeżdżającego tramwaju. Przed lustrem w przedpokoju Klara związała włosy. Równo przycięte lśniły na szorstkiej przędzy białego płaszcza. Gdy szła do drzwi, pod obcasami trzeszczało miękkie drewno czereśniowych desek. Wołała je od lakierowanych paneli przypominających sztuczne zęby: błyszczące, ułożone rządkiem w protezy prawdziwej podłogi. Dla Klary to, co naturalne, było dobre i bezpieczne. Dlatego siedem lat wcześniej przestała być chirurgiem.

1994

– Proszę podpisać – prosiła Klara zwijającego się z bólu pacjenta. Była prawie pewna, że to krwawiący wrzód. Jeszcze raz przejrzała papiery chorego.

– Panie Darku, za tydzień ma pan urodziny, trzydzieste piąte.

Była czwarta rano, jej druga noc na izbie przyjęć. Mówienie sprawiało jej tyle trudu, co jemu słuchanie:

– Będzie pan balował, wszystko się zagoi.

Otarła mu z twarzy pot. Otworzył usta, zdążyła odskoczyć, zanim splunął krwią. Sanitariusz wbił mu w zaściśniętą pięść długopis.

– Tutaj – podsunął zgodę na operację. – Niech pan słucha lekarza.

Chory rzucił długopisem w okno. Szczupły, prawie chłopiący, miał kilkudniowy zarost i popękane od wysiłku źyłki w oczach.

– Gdzie jest jego żona? Był ktoś w domu? – Klara dostała wyniki z laboratorium.

Wykrwawiał się, trzeba było podłączyć natychmiast kroplówkę.

– Jego żona nie mogła przyjechać... – Lekarz z karetki szykował się do następnego wezwania.

– Coś gadał, że się pokłócili – przypomniał sobie sanitariusz.

– Dlaczego on jest w garniturze na gołe ciało? – Pomogła pielęgniarka rozebrać go z czarnej, odświętnej marynarki.

– Sam się tak wystroił – sanitariusz wzruszył ramionami.

Klara już nie namawiała chorego. Sala operacyjna powinna zrobić wystarczające wrażenie. Metaliczny szcęk narzędzi chirurgicznych był dowodem szermierki ze śmiercią.

Do końca dyżuru zostały trzy godziny. Przyjmowała rutynowe zgłoszenia; zatrucia, złamania. Miała zapytać, jak idzie na operacyjnym, gdy przyszedł anestezjolog.

– Odpał zupełny. Klara, on się nie zgadza, nie, bo nie.

– Jeszcze go...?

– Ciągłe przytomny skurczybyk.

– O co chodzi? Jehowa?

– Nie, uparł się. Wezwaliśmy psychiatrę.

– Zostań, pięć minut. – Wskoczyła do otwierającej się właśnie windy z wózkami.

Kiedy go przywieźli, miała za mało czasu. Bała się, że postawi złą diagnozę. Czytając wywiad, pytała go, czy pił. Ale ludzie się mylą w kłamstwach, on też się mylił, że nie podpisze. Umiała przekonać najnieznośniejszych pacjentów; zramolałych staruszków i rozwrzeszczane dzieci. W ich uporze znajdowała szczelinę, przez którą przetaczała zdrowy rozsądek.

Pacjent leżał odwrócony do ściany, drżał z bólu i osłabienia.

– Panie Darku – wzięła go przyjacielsko za rękę, sprawdziła słaby puls. – Pomogę panu. Proszę mi też pomóc i powiedzieć dlaczego.

Zamknął oczy, popłynęły mu łzy.

– Słyszysz mnie pan?

Odwracał się coraz bardziej do ściany.



– Ma pan krwotok... krwawienie z przewodu pokarmowego – potarła mu kartką siną rękę. – Skazujesz się na śmierć. Tego nie wolno, to eutanazja.

– Eeeu, euta, ta, a w dupie mam, na co umrę – prawie wrzasnął, zamieniając ból we wściekłość.

– No to do cholery nie umieraj, jak ci nie zależy! – sądziła, że dotrze do niego krzykiem.

Więcej się nie odezwał. Wmurował milczeniem w ścianę.

– Zawzięty facet – powiedział w dyżurce chirurg. – Takich przywożą z więzienia po połyku.

– Byłem u niego, normalny człowiek. – Lekarz z karetki tak jak Klara skończył nocny dyżur.

Obydwoje zostali solidarnie z dzienną zmianą, wspierając kolegów.

– Rozumiem, ze strachu ludzie różne rzeczy robią, ale jego tak boli, że każdy normalny wolałby pod nóż. Wariat? Po kiego dzwonił na pogotowie? – Anestezjolog chodził wokół stołu.

– On umiera na złość żonie, odeszła od niego – odezwał się psychiatra. – Ubrał się elegancko, dał jej ostatnią szansę.

– Obyczajowa, no taak. Baba nie przyjedzie, nie przekona go. Lepiej być wdową niż rozwódką, przyzwoiciej – denerwował się chirurg.

Klara miała wrócić ze szpitala do przesiąkniętego lekarstwami mieszkania, gdzie czekała zrakowaciała po mózg matka. I nie mogła podmienić końcówki jej życia, wydawanej z niego boleśnie reszty, na to dogorywające za ścianą sali operacyjnej. Po czterech godzinach wykrwawiania chory zaczął bredzić, psychiatra mógł wreszcie zezwolić na spóźniony zabieg. Pacjent umarł podczas operacji. W przechowalni leżał jego czarny garnitur i zarzygane lakierki, czarne, bez sznurówek.

Spacerowała korytarzem, przyglądając się porannemu słońcu, które przepalało w niej nocny koszmar.

– Dzień dobry, moja droga – usłyszała serdeczny głos profesora Kaweckiego.

Przeszedł wolno koło niej ze swoim nieodłącznym skórzanym kuferkiem. W drodze do sali operacyjnej zdjął płaszcz i rozwijał się z szala. Uważano go za dziwaka i fantastę wynajdującego w najzwyklejszych chorobach zbyt wiele przyczyn. Po tym jak założył studium akupunktury, dobrowolnie skazał się na przedemerytalne wygnanie z grona poważnych lekarzy. Wzywano go do przypadków beznadziejnych, by zapewnić chorym ostatnią szpitalną posługę, a Kaweckiemu udowodnić nieskuteczność jego metod. Pracowała z nim rok na chirurgii, potem zajął się swoją chińszczyzną. Przy każdym przypadkowym spotkaniu w szpitalu proponował jej asystenturę. Klarę zastanawiało, dlaczego uparł się na nią.

Tym razem uśmiechnął się porozumiewawczo, nic nie mówiąc.

– Zgadzam się, panie profesorze! – zawołała za nim. – Ale pod jednym warunkiem, proszę powiedzieć, dlaczego ja?

– Bo mi się pani podoba. – Nie odwrócił się.

Od kiedy pamięta, zawsze chciała być lekarzem. W dzieciństwie wybrała specjalizację, rysując na lalkach czerwoną kredką ślady po operacji. Mając dwadzieścia siedem lat, była chirurgiem. Powołanie zamieniło się w zwykłe wołanie do pracy na zastępstwa i nagłe wypadki, gdy zachorowała jej matka. Klara poświęcała jej cały swój czas, wiedząc, że z tą diagnozą zostało pół roku nie życia, ale umierania. Matka, póki była przytomna, chciała ulżyć córce i prosiła o miejsce w hospicjum. Po przerzutach do płuc i mózgu spadała z łóżka. Jakby instynktownie chciała już znaleźć się bliżej ziemi i mniej cierpieć. Klara

wstrzykiwała jej maksymalne dawki morfiny. Ból był zrostem między ciałem i duszą, rozrywany przed śmiercią z każdej tkanki.

Przenosząc się do pogotowia, miałyby mniej pracy i mogła lepiej zająć się matką. Wyleczenie było niemożliwe, tego nikt oprócz szarlatanów nawet by nie próbował. Zadręczała się więc analizowaniem niewyłapanych na czas symptomów poprzedzających chorobę; kłucia, zawroty głowy, nudności.

Natrętnie powracał do niej głos profesora Kaweckiego z jego mantrą: „Dla medycyny chorobą jest zaburzenie materii, niewydolność organu. Akupunktura zajmuje się tym, co chorobę poprzedza – zaburzeniem funkcji. Za późno leczyć chorobę w rozkwicie, mądrzej do niej nie dopuścić”.

Nie żałowała porzucenia chirurgii. Napięta i skupiona podczas operacji, nie potrafiła wyhamować, rozluźnić się jak inni, pijąc. „Nie nadaję się. Jestem przemęczona”, zdołała popatrzeć na siebie z boku, gdy przy wyrostku robaczkowym powstrzymywała się, by z tą samą fachowością nie wyciąć pacjentowi profilaktycznie reszty narządów. Pogotowie też ją męczyło, miała dość ciężko chorych i wypadków. Wydawało się jej, że przyjeżdża do nich ciągle za późno. Po pracy, przekręcając klucz w zardzewiałym zamku, też czuła się ciągle spóźniona. Nie mogła uratować własnej matki, nie uchroniła jej przed chorobą, po co więc była lekarzem?

Poszła do Kaweckiego, bo nie miała dokąd iść. Wycofując się coraz bardziej z medycyny, z chirurgii do pogotowia, potem do przychodni, może skończyłaby w firmie farmaceutycznej. Byłaby dobrze opłacanym, obwoźnym handlarzem pigułek. Znajomi lekarze, którzy już to robili, powtarzali w samoobronie: „Z czegoś trzeba żyć, nie?”. W przypadku Klary to było pytanie: „Po co?”. Przygotowywała się nim do śmierci matki.

– Panie profesorze, powie pan teraz, dlaczego zaproponował pracę u siebie? – Klara ćwiczyła odmierzanie grubości kciuka odległości na ciele pacjenta.

– Odpowiedź w pani rękach, od razu wiedziałem, że się nadają – podał srebrną igłę ze złotą nasadą. – Mnie zajęło rok, co pani trzy miesiące. Proszę zamknąć oczy – przyłożył jej dłoń do boku leczonego chłopca. – Przesunąć palcami, o tutaj, wyczuwa pani? – prowadził delikatnie.

– Tak. – Nie sądziła, że będzie od nowa uczyć się ludzkiego ciała, czytać je brajlem. – Punkty do nakłucia są... cieplejsze, minimalnie.

– Pół stopnia! Energia, ożywia nas energia! – Profesor uwielbiał mówić o nieuchwytej energii przesywającej świat skurczem życia.

Przy obcych maskował swój entuzjazm, zastępując „energię” słowem „funkcjonowanie”. Wśród swoich uczniów, nie krępując się, szydził z zachodniej medycyny ślepej na meridiany: – Te subtelne ścieżki energii oplatające organizmy.

W przyciasnym fartuchu opinającym brzuch biegał wokół pacjenta, tłumacząc działanie akupunktury. Przypominał dziecko pochłonięte konstrukcją zabawki. Kilkunastocentymetrowe słupy wysokiego napięcia z igieł wbił w cielesny krajobraz zagłębień i wzniesień. Czekał, aż popłynie między nimi prąd uzdrawiającej energii. Jej zaburzenie powodowało osłabienie narządów, słabe narządy jeszcze bardziej blokowały jej przepływ, prowadząc w rezultacie do chorób i śmierci.

Kilka dni po pogrzebie Klara zbierała z grobu zmarnięte bukiety i wieńce. Na ostrym wietrze powiewały szarfami: „Kochanej pani profesor – wychowankowie II LO”, „Wychowawczyni, maturzyści 1985”. Przystawała odpo-

cząć, wytrzeć łzawiące oczy. W bocznej alejce od śmietnika stał dziwny biały pomnik. Zamiast imienia, nazwiska i dat wyryto wielkimi, czarnymi literami MAMA. Wszystkie inne groby ze swoimi zapisanymi od góry do dołu tablicami wydały się nagle wystającymi z ziemi fiszka-mi osobowymi. Klara usiadła na małej ławce przy stogu śmietnika, usypanym z wieńców i żałobnego brokatu. Przestała powstrzymywać łzy. Szlochając, zatykała usta zwiniętą rękawiczką, wtykała ją między zęby niby knebel choremu na padaczkę. Trzęsa się z płaczu i zimna. Jeśli w błysku światła zaczyna się padaczkowy atak, to ona miała atak smutku, w którym przeraźliwie jasno zobaczyła swoje położenie: Jest zupełnie sama. Ojciec nie przy-leciał z Australii na pogrzeb. Uciekł od nich, gdy Klara miała pięć lat. Od tego czasu widzieli się ze dwa, trzy razy. Paweł, najlepszy kumpel ze studiów, ma praktyki w Stanach. Przyjaciółka Joanna po urodzeniu dziecka nie miała dla niej czasu. A ona sama zrezygnowała z ambicji i zostanie akupunkturzystką, pośmiewiskiem dla mniej zdolnych, ale robiących specjalizacje. Zaczynała razem z nimi, w niczym nie była gorsza i odpadła. Ma mieszkanie po matce, żadną pensję i nikogo.

– To niesprawiedliwe, MAMO, mamusiu!

Że umarłaś. Że mój wykładowca, wielka miłość od ostatniego roku studiów, nie zostawi żony.

Przekonała się o tym, zaglądając przypadkowo do jego biurka.

– Klara, a czego ty tam szukasz? – zawołał do niej z łazienki swojego gabinetu.

Spotykali się u niego późnym wieczorem po wyjściu sprzątaczek.

– Wino mi się rozlało. – Zakryła płamę papierowym ręcznikiem. Sprawdziła, czy nie przelało się do szuflady.

Na samym wierzchu leżało zdjęcie jego żony porysowa-

ne mazakiem; poprawki ust, oczu. Za miesiąc miał otworzyć własną klinikę urody. W przeprowadzkowym rozgardiaszu mieszał dokumentację z prywatnymi papierami.

– Operujesz ją?

– Kogo? – udawał zdziwienie. – A, prezent urodzinowy. – Wychylił się z łazienki owinięty na biodrach jednorazową serwetą. – Drobnie poprawki.

– Moim kosztem?

– Co?

– To nie korekta, ty jej robisz moje usta i oczy.

– Ten wykrój jest dla niej najlepszy, najmniej cięć, a że ty masz podobne oczy... Przypadek. – Wklepał w twarz perfumy i swoim zwyczajem natarł nimi owłosienie łonowe, poklepując pieśczołliwie jądra. Higiena była u niego rodzajem gry wstępnej. – Nie bądź zazdrosna, wiesz, że nie ma... – nie dokończył, całując ją w usta.

– Nie ma? – Odepchnęła go i usiadła przy biurku, chcąc lepiej przyrzeć się fotografii. – Nie ma o co, bo jest po czterdziestce? Wiesz, jak się czuję? – Jakby zdarł ze mnie skórę i zaniósł ją do jaskini, okryć swoją żonę, pomyślała.

– Przeginasz, pokaż. – Założył okulary z wąskimi szklami.

Krople wody skapywały z muskularnego torsu pasującego bardziej do trzydziestoletniego kulturysty niż do lekarza w średnim wieku. Kochając się z nim, była naraz z dwoma mężczyznami: młodym i dojrzałym. Albo z Minotaurem o ciele młodzieńca w rogatej masce zasłaniającej prawdziwą twarz. Próbowwała ją podejrzeć. Dlatego nauczyła się przy nim przeżywać orgazm z otwartymi oczami. Podniecać się tą widzialną różnicą między miazdzącymi mięskami a czułością jego spojrzeń i pocałunków. Ich sprężyste ciała wchodziły w siebie, ale głowy nie pasowały. Klara nie mogła dotrzeć do tego, o czym on na-

prawdę myśli, co jest kłamstwem, co mądrością pięćdziesięcioletka.

– Piękne jest do siebie podobne – wyrecytował zawodowy slogan. – Jesteś moim kanonem urody, więc się nie dziw... Ale, ale ty masz górną wargę zupełnie inaczej zaokrągloną, Klara... – przejechał pieszczotliwie palcem po jej ustach.

– Chirurg plastyczny tak potrzebuje muzy jak gronkowca – wstała. – Nie wierzę ci, w nic.

– Co nie? Ewidentnie. Gdzie ty widzisz podobieństwo? – Wpatrywał się w zdjęcie, zasłaniając się nim przed Klarą. – Może trochę dolna, ale to już nie ode mnie zależy. Siedemdziesiąt procent kobiet ma tak samo zbudowane mięśnie okrężne, co ja ci będę mówił – włożył jej rękę między nogi i przyciągnął.

Poczuła, że zaraz wepchnie w nią pachnący palec i zrobi z niej pacynkę. Lalkę pożądania nadzianą na poruszającą nią dłoń.

– Nie chcę. Z kochanki jest czasem żona, nie żebym chciała za ciebie wyjść, ale żonę przerabiać na kochankę? Pogięło cię?

– Czy ty nie jesteś przed okresem? – zaniepokoił się złośliwie.

– Nie rób ze mnie wariatki. I nie bój się, nie jestem w ciąży, jeżeli o to biega, nie wrobię cię. Spadaj.

– Klara...

Zawracając od drzwi, przyznałaby się do pomyłki. Dała się zaczarować obietnicom, wyjazdom na weekendy. Taktownie nie wypytywała, kiedy zamieszkają razem. To on, wyczuwając moment, snuł plany: „Przeprowadzisz się do mnie po rozwodzie albo lepiej kupimy nowy dom za miastem. Zrobisz specjalizację i będziemy współnikami. Może najpierw anestezjologia?”. Im bliżej było otwarcia kliniki, tym mniej miał dla niej czasu, odwoływał spotkania.

– Gdybyś potrzebowała pomocy, możesz na mnie liczyć – zapewniał.

Rzeczywiście, kupił matce Klary specjalne łóżko dla obłożnie chorych. Przesłał masażystkę, załatwił dyżury pielęgniarek. Widywali się raz na tydzień. Płacił za jej tak-sówkę z Żoliborza do centrum. Szybki seks przy zgaszonym świetle, najlepiej na stojąco wśród obitych kolorową skórą mebli na chromowanych nogach. On wpatrzony w okno, w pulsujące pod nimi miasto. Ona z twarzą przy szybie, wypychana rytmicznie tam, skąd przyjechała – w stronę szarych ulic.

– Pierdolona Warszawa – wbijał się między jej pośladki. – Powiedz coś świńskiego – popijał ze rżniętej, kryształowej szklanki swoją dzienną dawkę whisky.

– Ty.

Uwalniała się i opierała plecami o jeden z perskich dywanów zawieszonych na ścianie. Wymyślała pozycje dla akrobaty z twarzą mędrca.

– Patrz na mnie – trzymając go za gęste, szpakowate włosy, podnosiła mu głowę.

Miał mieć erekcję spojrzenia, twardo, prosto w nią, do ostatniej kropli.

Potem padali na kanapę, zaśmiewając się ze swoich udawanych perwersji. Minotaur zasypiał w pół słowa. Zapadał w ciężki, prawie zwierzęcy sen.

Nie sprawdzając, gdzie według biletu jest jej miejsce, rozpoznała w półmroku sali kinowej profil Joanny z zadartym nosem i platynowe loki – to było jej pierwsze wyjście po urodzeniu Michasia.

– Nie dawaj mi kukurydzy i zabierz czekoladki, przecież karmię – opędzała się od Klary.





foto: Krzysztof Opaliński

Manuela Gretkowska debiutowała w 1991 r. powieścią *My zdies' emigranty*. W jej dorobku są także: *Tarot paryski*, *Kabaret metafizyczny*, *Podręcznik do ludzi*, *Namiętnik*, *Światowidz*, *Silikon*, *Polka*, *Sceny z życia pozamałżeńskiego*, *Europejka*.  
Książki Manuli Gretkowskiej tłumaczone były na kilkanaście języków.

patroni medialni



Nowości i zapowiedzi  
[www.swiatksiazki.pl](http://www.swiatksiazki.pl)

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).